

Nieoczekiwany pacjent

Dzieje się w chwili, kiedy zmierzch wali z nocy.

Auto-taxi podjeżdża do trotuaru. Dwie ręce spotykają się na klamce drzwiczek. Jedna z nich należy do bardzo dystyngowanego mężczyzny w cylindrze, druga do mężczyzny również bardzo dystyngowanego w meloniku.

— To ja pierwszy zrobiłem znak szoferowi! — oznajmił nerwowo pan w cylindrze.

— Przepraszam pana, to ja! — zaprzeczył z odcieniem gniewu pan w meloniku.

— Nie wiem zresztą, po co się wdaję w dyskusję — pali energicznie pan w cylindrze — wsiadam do auta!

— Nie, auto moje! — odparł pan w meloniku stanowczym tonem.

— Zaraz zobaczymy, ośle!

Ośle!... Obelga ta wyprowadziła z równowagi dystyngowanego pana w meloniku: kołnierz jego laski zakreśla w powietrzu półkole i nieszczęście chciało, że cylinder oponenta znalazł się — że powiedzieć geometrycznie — w planie Sektora...

Co chcecie, żeby zrobił kapelusz gwałtownie trącony przez laskę? Żeby upadł?... Nie omieszkał i uderzył o asfalt z donośnym dźwiękiem kartonowej rury... Każdy wie z doświadczenia, jak jest nieprzyjemnie zostać przypadkiem na ulicy bez nakrycia głowy. Złość porywa wtedy nawet, kiedy wiatr jest winowajcą, a cóż dopiero jeśli laska...!

Pan o gołej głowie sponował i zaciśnięta jego pięść, jakgdyby odprężona przez resor, spadła na brzuch napaśnika z precyzją i rozmachem, świadcząc chlubnie o sportowych zdolnościach właściciela.

Dystyngowany pan w meloniku upadł na trotuar i leżał bez ruchu. Ciekawie przechodnie zatrzymali się; policjant, który właśnie wtedy przechodził, zbliżył się. W kilka chwil potem próbowano ocucić pana w meloniku, rozciągniętego na polowym łóżku posterunku policyjnego podczas kiedy podoficer żandarmerji indagował surowo pana w cylindrze, który wyjmując swoje papiery, dowodził zapalczywie, że zemdlony zaczął!

— Zdaje się, że niedobrze z nim — rzekł z niepokojem jeden z policjantów doglądających ofiarę, zbliżając się do swego szefa... możeby lepiej postać po dyżurnego lekarza...?

— Lekarza! Lekarza!... Skąd go wziąć o tej godzinie! mruknął podoficer, przeglądając podane przez pana w cylindrze papiery.

— Ale! Ale! Pan jesteście doktorem, jak widzę...! zwrócił się nagle do niego.

— Oczywiście... Doktor Virdelet był in ternista szpitala, 44 bis przy ulicy Lafayette.

— Niechże się pan zajmie tym zemdlonym!

— Człowiekiem, który mi przejechał laską po kapeluszu? Za nic!

— Doktorze Virdelet! W imieniu prawa wzywam pana do udzielenia ofierze tylko co dokonanej napaści, pomocy, jakiej stan jej wymaga!

— Panie podoficerze, żałuję bardzo, ale nie mogę być jednocześnie obwinionym i doktorem... a ponieważ pan zacząłeś od tego, że traktujesz mnie jak winowajcę, (z pewną dozą brutalności nawet, którą zreferuję zresztą jednemu z dygnitarzy politycznych, z którym mnie łączą bliskie stosunki) upraszam o uważanie mnie w dalszym ciągu za obwinionego jedynie... Zobaczymy, co z tego wyniknie...!

— Panie doktorze, zajmij się pan nim! Przyprawdaj go do przytomności przynajmniej...! Nim dyżurny lekarz się zjawi, może być zapóźno. No trochę ludzkości, doktorze... Należy mi się to chyba od pana do diabła!

— Pan brutalnie zachowałeś się wobec mnie.

— Zgoda... Zawiniłem... Ale niech pan wejdzie w moje położenie: widzę tego biedaka, leżącego bez ruchu... nie mogę indagować go... Proszę pana... doktorze — trochę ludzkości...!

— Skoro się pan tłumaczy... Ale to on zaczął...! rzekł z naciskiem doktor, przechodząc do sąsiedniego pokoju, gdzie zdjąwszy pałto i poturbowany kapelusz, zbliżył się do łóżka.

Z zachmurzoną twarzą obnażył tors chorego, wydobył puzderko kieszonkowe, zrobił zastrzyk kamforowy, poczem zapomniawszy o urazie, jał gorliwie i z wprawą zawodowca robić masaż.

Na skutek tych zabiegów chory westchnął raz i drugi krótko, potem głębiej, podczas kiedy krew zaczęła nabiegać do policzków.

Otworzył niebawem oczy i zwracając się do pochylonego nad sobą mężczyzny, szepnął:

— Dziękuję, doktorze... Widzisz pan... co za ulicznik...!

Zupełnie uspokojony i wstydząc się teraz doktor „połknął“ epitet, podważając troskliwość.

— Nie mów pan... Proszę głęboko oddychać...

— Jaki pan dobry, doktorze... A tamten, co za kanajka.

— Nie... nie... Pij pan powoli to lekarstwo... małymi haustami...

— Ocaliłeś mi życie, doktorze...! Nigdy ci tego nie zapomnę... Gdzie jest ten bokser, apasz...?

— Hm... On jest... On jest tutaj... Przed panem... Rатуje pana całą swoją wiedzą... a nawet sercem całym...

Pan w meloniku, wpatrzywszy się w twarz doktora, zerwał się z łóżka, wołając:

— To pan? Precz! Precz...!

— Proszę się uspokoić! Beze mnie możebyś pan pożegnał się z tym światem.

— To dobre sobie! Gdyby nie pan, nie zemdlalbym na ulicy.

— Bagatela... Jutro pan o tem zapomni... Dlaczegoś mnie pan uderzył laską?

— Dlaczegoś mnie pan nazwał osłem?

— Takie niewinne słowo nie warte było takiego silnego uderzenia laską w nowy kapelusz...

— Może być. Ale uderzenie laską w kapelusz choćby najnowszy, nie zasługiwało na taki cios maczugą w stary brzuch...

— To prawda i nie wstydzę się przyznać że żałuję mego uniesienia.

— W gniewie człowiek się zapomina... Nie powinienem był również użyć laski.

— Ani ja pana nazwać osłem.

— Gdybym był wiedział, że pan jest doktorem, byłbym panu chętnie odstąpił auto-taxi... Panu pewnie było pilniej, niż mnie...

— Do kroćset... Miałem odwiedzić chorego...!

— Ach! A ja... Co za osioł ze mnie...! Jedź, doktorze, do swego chorego... Daleko lepiej się czuję. Wsiadę do dorożki i pojedę do domu położyć się.

— Nie prędeż, aż napiszę panu receptę.

— Doskonale. A jutro rano pan mnie odwiedzi, nieprawdaż? Nie mam teraz doktora: mój domowy lekarz przestał praktykować od pół roku... To moja pierwsza niedyspozycja... Chcesz pan być moim doktorem na jego miejsce? Zrób mi pan tę laskę?

— Służę panu... Juro rano o dziesiątej... Do pana...?

— Oto mój bilet wizytowy...

— Oto mój...

— Naszego zaś dzielnego oficera żandarmerji prosimy o zaniechanie sprawy...

— Już umorzona — odparł zainteresowany ze śmiechem.

Tłum. Jotsaw.



Karol Dane (Slim) i George Arthur w filmie „Precz z dziewczynkami“ wytwórni „Metro - Goldwyn“.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Niedziela, dnia 18 listopada 1928 r.

№ 47.

Święto Wolności w Łodzi.



Łódź, stolica pracy polskiej, godnie uczciła dzień 10-letniej rocznicy Wyzwolenia i Niepodległości Państwa Polskiego. Miłośnicy w dniu tym złożyli zbiorowy hołd Nieznanemu Żołnierzowi, którego symboliczna mogiła przykryta została mnóstwem wieńców i żywego kwiecia. W katedrze dzień 11 listopada uczczony został uroczystym nabożeństwem celebrowanym przez J. E. ks. biskupa dr. Wincentego Tymienieckiego. Obok J. E. ks. biskupa p. wojewoda Jaszczolt i dowódca O. K. IV p. generał Malachowski.

Fot. A. Meyer.

TEATRALJA.

Premjery i nowości. „Święto Kos“. Zmodernizowany „Faust“. — Drobiazgi teatralne

Najnowszą premjerą warszawską jest zno w amerykańska komedia Avery Hopwooda p. „Słomiani wdowcy“, wystawiona w Teatrze Małym. Amerykanizacja teatrów warszawskich czyni naprawdę zastraszające postępy: jak to niedawno wspominaliśmy, już nawet autorzy polscy zaczynają pisać sztuki — amerykańskie. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce nawet ceny biletów oznaczane będą w dolarach, a publiczność, zapijająca amerykańskie cocktaile, rozmawiać będzie wyłącznie po angielsku. Wracając do komedji p. Hopwooda, wypada stwierdzić, że nie było się po co śpieszyć z jej wystawieniem w Warszawie. Rzecz to w pomysł dla nas mało interesująca, w wykonaniu dość surowa i naiwna. Autorowi chodziło o przystępne zilustrowanie morału, że małżonki nie powinny na czas zbyt długi opuszczać mężów gdyż inaczej — słomiani wdowcy stają się łatwym łupem demonów lekkiego i wesołego pokroju. Naturalnie sztuka kończy się różowo i pogodnie, jak muszą się kończyć wszystkie sztuki amerykańskie; „marnotrawni“ mężowie powracają na drogę rodzimej cnoty, zaś zbyt lekkomyślnie poprzednio żony postanawiają nie wystawiać więcej małżonków na pokusy słomianego wdowieństwa. Doskonała obsada komedji z pp. Czaplinska, Kamińska, Grabowski i Szubertem na czele, zatarła wiele braków, podkreśliła lepsze strony pomysłów p. Hopwooda.

Niewiele dobrego da się powiedzieć o wystawionej w krakowskim Teatrze Miejskim komedji Nivoix p. t. „Ewa bez osłon“, będącej bardzo typowym produktem bulwarowej „sztuki“ paryskiej. Jest to dość wesoła nawet ilustracja de la vie parisienne, nadsekwańskiego życia, wziętego oczywiście przez pryzmat bez troski i erotyzmu. We

ług przykazań współczesnego komedjopisarstwa francuskiego, znaczna część akcji (akcji scenicznej) rozgrywa się w łóżku, a miłość i zdrada są jedynymi motorami komedji, która właściwie sama nie rozumie po co powstała. Błahostki tej, najzupełniej zbędnej na scenach polskich, nie może uratować szczypta gorzkawej ironji, rozproszona tu i tam w dialogach „Ewy“. Autor jej ma bodaj lepsze rzeczy w swym dorobku — niepotrzebnie ta nieciekawa choć paryska Ewa zablakala się aż do Krakowa.

Wydany w tych dniach we Lwowie trzy aktowy dramat p. Wład. Kozickiego nie wzbogaci zbyt naszej literatury scenicznej mimo, że „Święto Kos“ otrzymało na konkursie lokalnym drugą nagrodę. Pominałszy zupełnie dowolne i fantastyczne tło tego realistycznego rzekomo dramatu (o jakimś „święcie kos“ nigdzie w Polsce nikt nie wie), utwór p. Kozickiego nie posiada żadnej konsekwencji w budowie charakterów i sytuacji, a wszystko co się w nim dzieje pozostawione jest na los najdziwniejszego przypadku, kierowanego zresztą — według bardzo starych wzorów ręką autora. Sam pomysł zasadniczy — odnalezienie się zaginionego czy zmarłego gdzieś męża po to tylko, aby żona, szczęśliwa już z innym, mogła z łaski autorskiej, popełnić samobójstwo, grzeszy zbyt sztucznością. Zjawiający



P. Helena Krzywicka, artystka Teatru Miejskiego w Łodzi.

się na zawołanie nieboszczycy, tajemnicze flakony z włoskimi truciznami i t. p. historie — wszystko to jest zbyt naiwne i przestarzałe, by mogło się stać elementem mocnego, zwartego (wedle dzisiejszych wymagań) dramatu. Brak jest sztuce poza tem scenicznego nerwu i tej żywości dialogu i akcji, którego nieodzownie wymaga teatr. Wątpić należy, czy którykolwiek z naszych dyrektorów zaryzykuje wystawienie „Święta Kos“. A gdyby nawet zaryzykował — wątpliwe, zapewne, odniósłby z tego korzyści.



P. Ir. Grywińska, artystka Teatru Miejskiego w Łodzi.

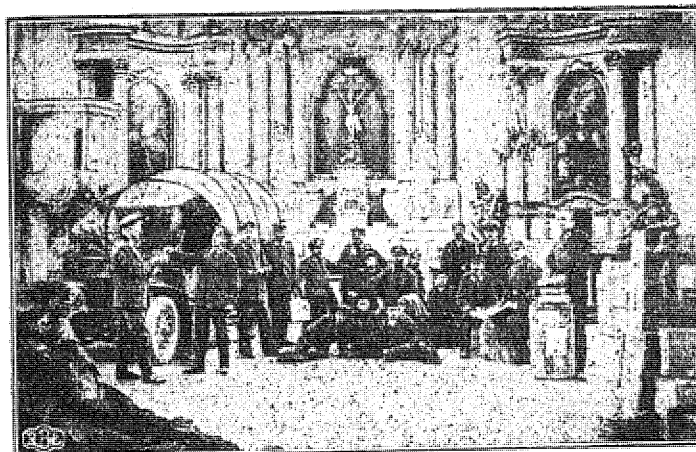
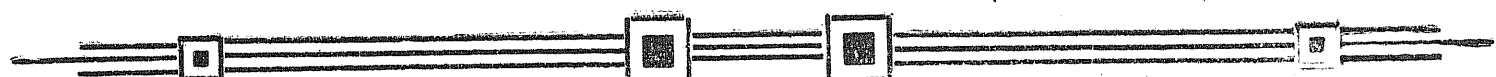
Znany pisarz angielski Arnold Bennett wystawił w londyńskim teatrze Saint-James najnowszą swą sztukę p. t. „Powrotna podróż“, będącą jeszcze jedną parafrazą starej legendy o doktorze Faucie. Tylko, że ta parafraza Bennetta ma całkiem współczesne akcesoria, rozgrywa się bowiem w naszych czasach, a bohaterami jej są osoby ze świata uniwersyteckiego. Stary uczonec, dr. Faust, ulegając namowom Melista w postaci prof. Satolloona, pozwala się odmłodzić, a następnie zawiązuje stosunek miłosny z piękną studentką Małgorzatą Maider Idylla ta trwa do czasu, aż zdradzony narzeczony Małgorzaty ujawnia przez zemstę całą aferę dr. Fausta, dając tym sposobem żer chciwym sensacji gazetom. Małgorzata, którą usuwają z kolegium, zachowuje się dość obojętnie względem zdruzgotanego skandalem profesora, a nawet godzi się z narzeczonym. W tych okolicznościach, dr. Faust rezygnując z ciernistej „młodości“, odbywa „powrotną podróż“ do swoich lat podsztych i ze spokojem oczekuje śmierci. — Sztuka Bennetta zrobiła w Londynie duże wrażenie; świetny aktor angielski Gerald Maurier, w roli dr. Fausta, znalazł dla się piękne pole do popisu.

Setną rocznicę zgonu Henryka Ibsena, której znaczenie omówił w swoim czasie obszernie „Kurjer Łódzki“, święcą włącznie poszczególne teatry, instytucje i zrzeszenia literackie. W tych dniach odbył się obchód ku czci Ibsena w teatrze de la Residence w Brukseli, zaszczycony obecnością członków domu panującego, korpusu dyplomatycznego i t. d. Wielki pisarz Juljusz Destrée w imieniu kolegów — pisarzy złożył hołd genialnemu dramaturgowi, następnie zaś odegrano w galowej obsadzie „Upiory“.

Delta.



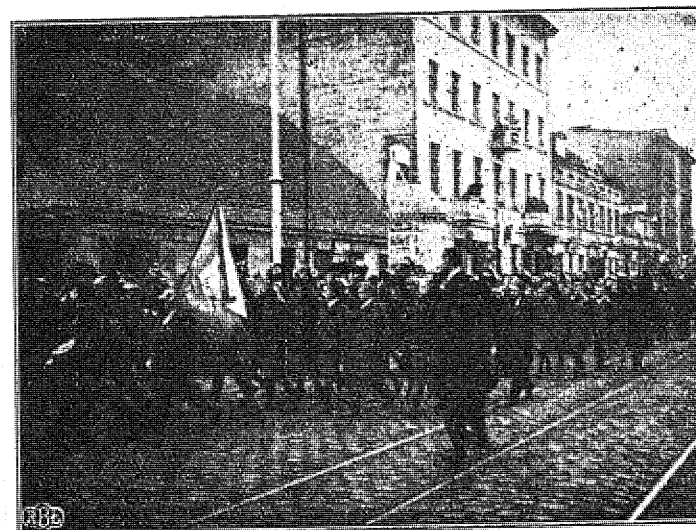
Wybitny artysta teatrów warszawskich, p. K. Adwentowicz, na gościnnych występach w Teatrze Miejskim w Łodzi.



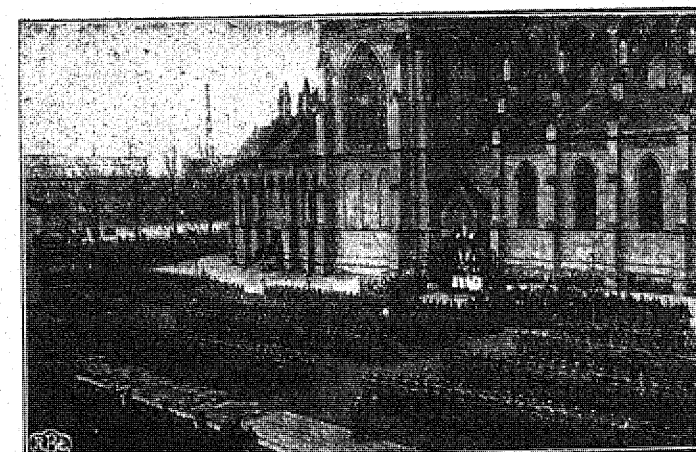
Smutne pamiątki z czasów wielkiej wojny światowej. Okupacyjne wojska niemieckie rozkwatowane w kościele profanują przybytek wiary.



Polacy-żołnierze b. armji rosyjskiej w niewoli niemieckiej, eksploatowani przez swych ciemniźcyeli. Na zdjęciu orka z zaprzęgiem ludzkim.



Łódź w dniu święta 10-lecia Niepodległości odzyskanej przez Państwo Polskie. Powyżej fragmenty uroczystości: na lewo przemarsz młodzieży szkolnej, na prawo płyta Nieznanego Żołnierza przykryta żywym kwieciami i wieńcami; w głębi młodzież w strojach narodowych na tle murów katedralnych oraz las sztandarów.



Msza św. przed katedrą dla pułków stacjonowanych w Łodzi w dniu 10-lecia Niepodległości. Na zdjęciu szeregi oddziałów piechoty 28 i 31 pułku Strzelców Kaniowskich. Fot. A. Meyer.



Wieś polska budzi się do życia. Koło Młodzieży Wiejskiej w Retkini z posłem I. Mularkiem, przyjacielem młodzieży wiejskiej oraz prezesem koła, p. Klimkiem na czele.



Artysta filmowy, człowiek o stu twarzach, Lon Chaney, twórca potężnej kreacji w filmie p. n. „Śmieć się pajacu”.



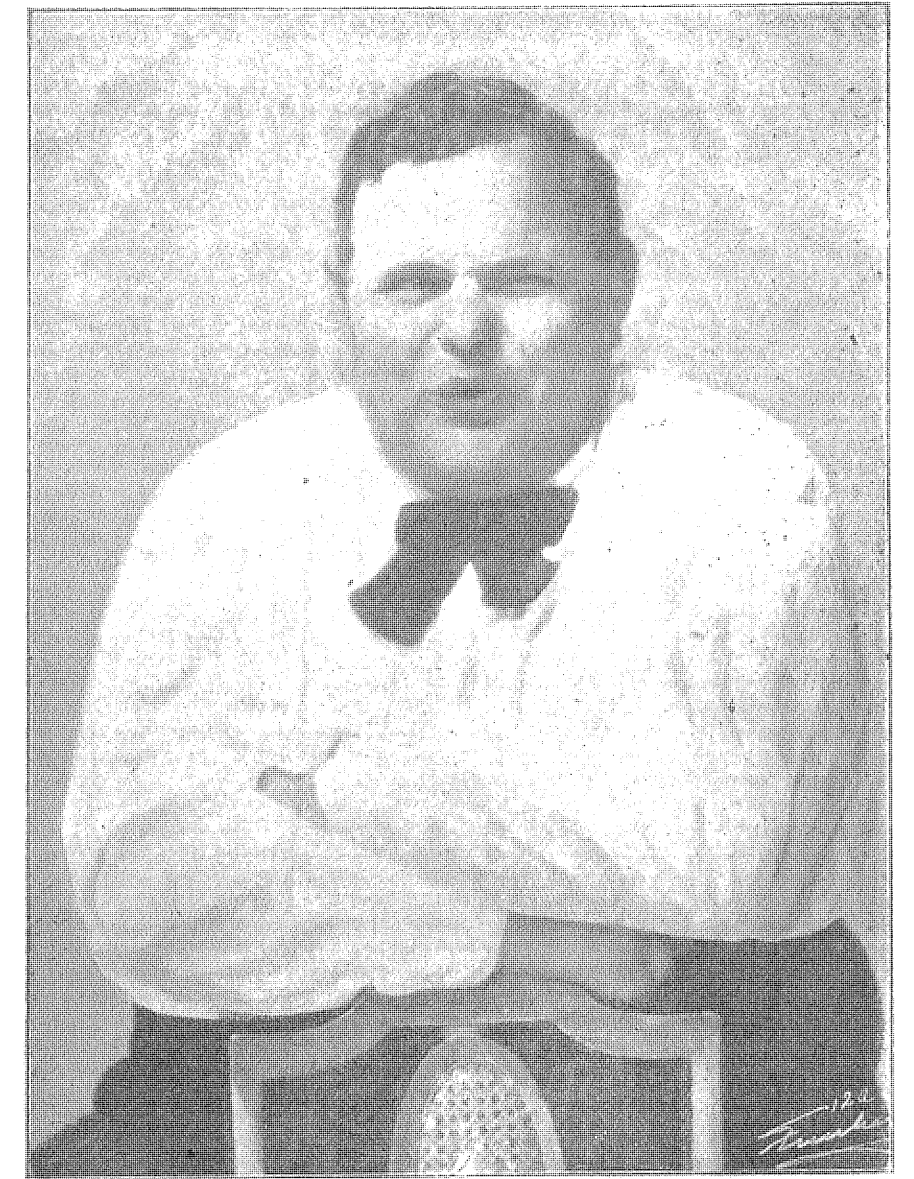
Ramon Nowarro, ulubieniec płci pięknej, w filmie „Pewien młody człowiek”.



Joan Crawford, znana gwiazda ekranu amerykańskiego w filmie „Jad miłości”.



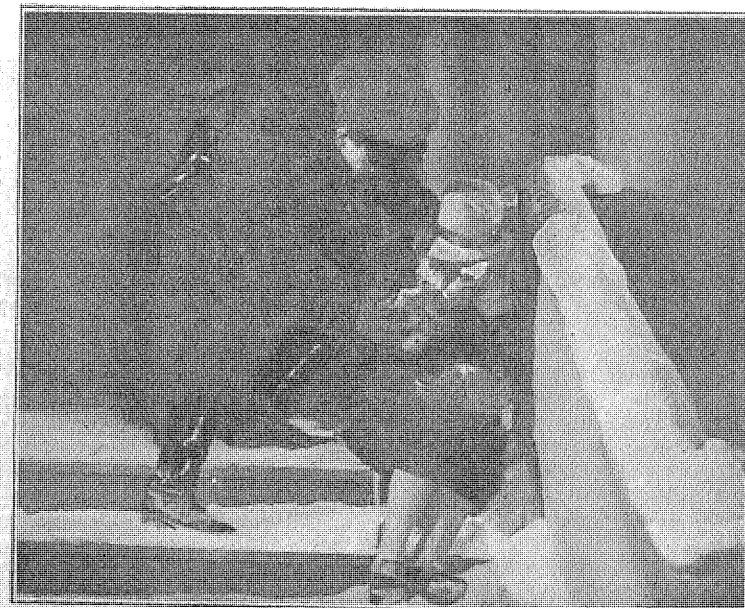
Hołdem Francji i geniusza Polski jest wielki film Roussel'a p. t. „Miłość i Izy Szopena” zerre Blancharem w roli romantyka muzyki polskiej.



Karol Huszar, który obecnie występuje pod pseudonimem Charles Puffy, jest niezrównanym odtwórcą ról komedyjnych w filmach „Universalu”.



Greta Garbo, „boska kobieta” w najnowszym filmie „M. G. M.”



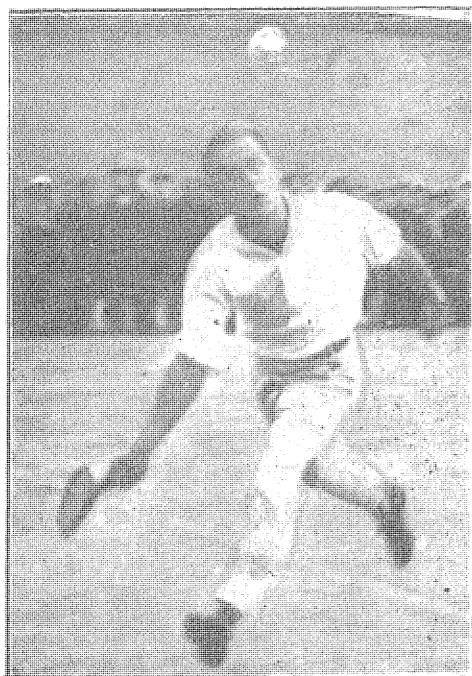
Maria Jakobini osiągnęła triumf artystyczny w potężnym dramacie rosyjskim „Wiera Mircewa”.



Suzy Vernon, królowa piękności Paryża ukaże się w sezonie bieżącym w filmach p. n. „Winien” i „Dla ciebie, ukochana”.



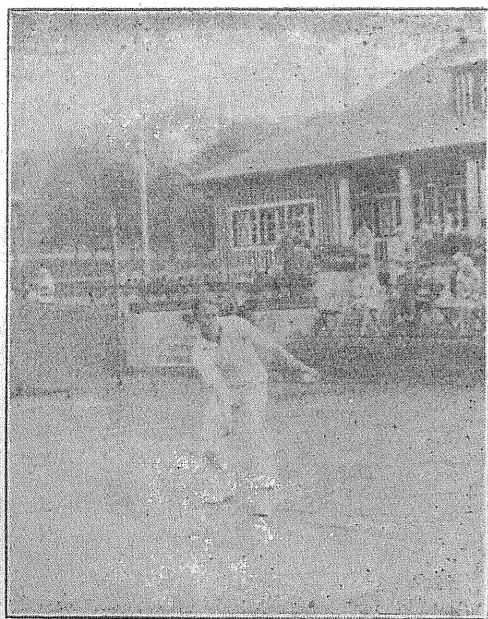
Marja Malicka i Zbyszek Sawan, odnieśli wielki triumf artystyczny w filmie krajowej produkcji p. n. „Dzikuska”.



Zeszłoroczny mistrz Polski, Jerzy Stolarow, musiał w ćwierćfinale skapitulować przed Marszewskim.



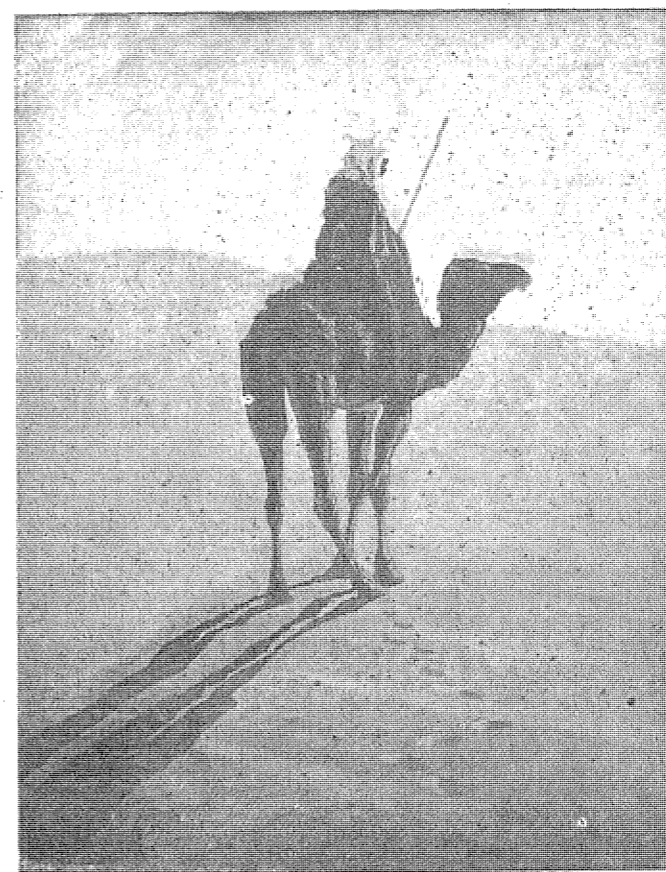
Kanadyjska lekkoatletka Cathewna zwyciężczyni w skoku wzwyż na olimpiadzie.



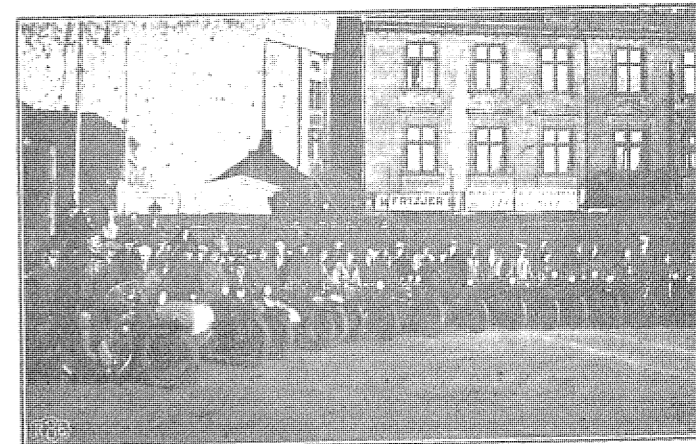
Warmiński podczas turnieju tenisowego o mistrzostwo Polski.



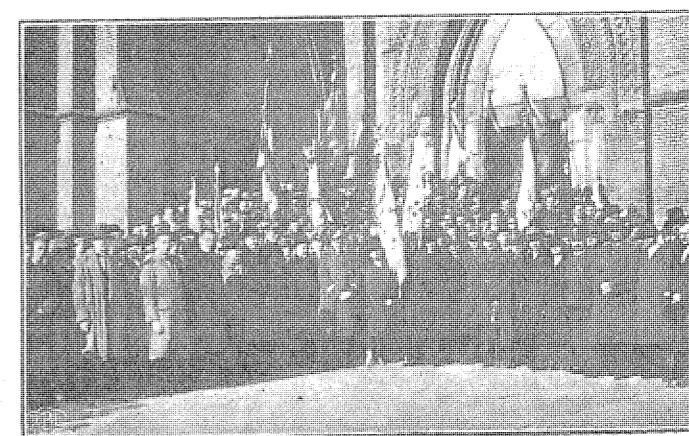
Nowak bije rekord w skoku wdal, osiągając 698,5 cm. i zwyciężając rekordzistę Sikorskiego.



Smetna a malownicza sylwetka piaszczystej i spalonej słońcem Sahary.



Stowarzyszenie Sportowe „Union” w Łodzi zakończyło tegoroczny sezon kolarski zorganizowaniem biegu. Powyżej uczestnicy biegu kolarskiego.



Poświęcenie sztandaru Związku Podoficerów. Na zdjęciu uczestnicy uroczystości na tle murów katedry. Fot. A. Meyer



General Józef Haller w karykaturze Edwarda Głowackiego.



„Stary pastuch”, obraz pędzla A. Laszki, wystawiony w Zachęcie warszawskiej.

WIKTOR HEILING.

Szafa pięknej Isotty.

Castellano, oprowadzający różnojęzyczne towarzystwo po parku i zamku Montefeltre, zatrzymał się i rzekł:

— Na tem kończę moje objaśnienia. Widzieliście państwo już wszystko. Złożyliście już swą daninę podziwu dla tego zamku, będącego tak wymownym świadectwem świetnej zamierzchłej przeszłości, jakoteż blasku Sforzów i Borgiów. Daninę zaś, jaką złożycie mnie osobiście, pozostawiam do waszego uznania, gdyż datki stanowią jedynę źródło mojego utrzymania.

— Do licha! — rzekł do swego sąsiada pan Arwed Döring, gdy inni członkowie tego towarzystwa pośpieszyli złożyć w otwartą rękę starego, niedbale ubranego przewodnika napiwek, odpowiadający dostojnie z zamku Montefeltre. — Nie mam wcale drobnych. Mam tylko 20 lirów a to przecież za dużo.

Nie każdy lubi wykladać za kogoś napiwki. Dobrze się przeto złożyło, że i Bruno Bokelmann, wynagrodziwszy Castellano od siebie nie znalazł więcej drobnych w portmonetce. Arwed Döring niezdecydowany obracał w rękę swój banknot dwudziestolirowy.

— Co się tego tyczy — rzekł kasztelan, którego oka nie uszedł ten ruch, ani wahanie — jestem chętnie gotów, zmienić to na drobne, signore. Ale przedtem pozwolę sobie pokazać panu coś osobliwego, czego nie mogę pokazać każdemu.

— Cóż to jest?

— Coś straszliwego — odparł Castellano. Rzesza turystów oddaliła się. — Czy pan słyszał o losie pięknej Isotty?

— Niente!

Stary skinał głową. Dwudziestolirowy banknot Arweda znajdował się już w jego ręku.

— Chodźcie, panowie! — Zabrzęczały klucze. — Mamy wejść tylko na dwa piętra.

— Chodzi tu o szafę, pochodzącą jeszcze z czasów potężnego i męznego Malatesty. Tedy z czasów około roku 1278. W niej miała się rozegrać straszna tragedia. Bliższe szczegóły podawano sobie naówczas z ust do ust, a czem dalej przenikały, tem bardziej przyozdabiała je fantazja ludu w legendarne dodatki. Widzicie panowie, oto stoimy przed szafą.

— Otwórz ją pan!

Castellano potrząsnął głową.

— Niepodobna! Żaden klucz nie pasuje. To jest sekretny zamek, którego tajemnicę ostatni, rezydujący tutaj członkowie rodu Malateste zabrali z sobą do rodzinnego grobu.

— Właściwie ta szafa nie wygląda wcale na tak starożytną — zauważył Arwed Döring, bardzo rozczarowany.

— Dobry towar jest wytrzymały, signore. Zresztą, ta szafa musiała być już bardzo stara, gdy obok w sali bankietowej od-

bywało się wesele pięknej Isotty. Gdyż to jest szafa Isotty. Pozwólcie, panowie, iż bym wam opowiedział tę historję.

— Tylko krótko — poprosił Bokelmann.

— Gdy Veruccio z rodu Malatesta poślubił piękną Isottę — rozpoczął Castellano — sprawił jej wielki ból. Gdyż comessa kochała biednego szlachcica, imieniem Vittorino Giusto. Podczas uczty weselnej która zaprawiała gorzkimi łzami, zniknęła w tej komnacie, gdzie chciała czekającemu na nią Vittorino, dać ostatni pocałunek.

— Acha! — zauważył Bokelmann, któremu jako berlińczykowi nie ludzkiego nie było obcem — teraz już wiem, co nastąpi! — Gałką swej laski wskazał na szafę.

— Si, si! — skinał głową Castellano. — Zdawało im się, że ktoś nadchodzi. W przestrachu chcieli chwycić za klamkę drzwi, ale natknęli się na rozetkę, która otwierała starą szafę. Weszli do niej, drzwi się zatrzaśnięły — i —

— „Nie ujrysz już konia, ni jeźdźca! — uzupełnił Bokelmann.

— Przynajmniej już nie przy życiu — zgodził się Castellano. — Skoro Veruccio przeszukał zamek i całą okolicę, nie mógł wierzyć inaczej, jeno że anioł uprowadził mu małżonkę do nieba.

— Wierząca dusza...

— Dopiero po upływie roku przypadek przyniósł rozwiązanie zagadki. Było straszne. Otworzono szafę...

— Już wiem! — rzekł Bokelmann. — Wówczas znaleźli dwa szkielety. Para kochanków zmarła z głodu w tej szafie.

— Tak sądzono. Było tak, jak pan odgaduje. Myślano zupełnie tak samo. I szkielety znalezione również.

— A więc, dlaczegoż to wyobrażano tylko, że rzecz tak się miała?

— Był haczyk w tej sprawie — rzekł Castellano tajemniczo, a głos jego poniżył się do szeptu. — Szkielet podobno nie był prawdziwy.

— Nieprawdziwy? Jakże to?

— W sześćset lat później wykopano ich znowu, a wtedy jakiś uczony profesor z Bolonji dowiódł niezbicie, że były to szkielety dwóch małp...

— Ależ skądże się tam wzięły?

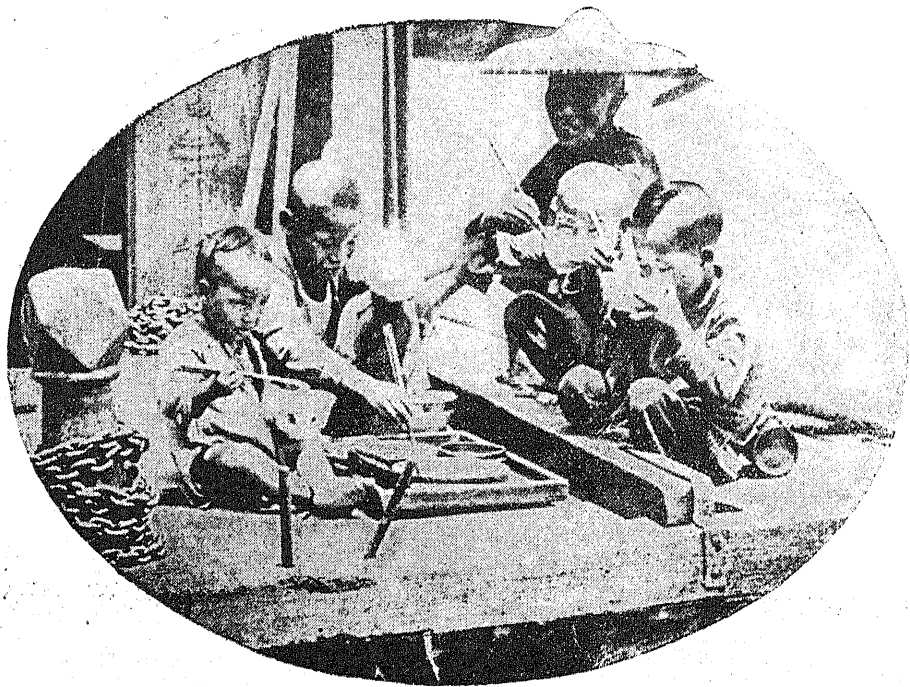
Castellano wzruszył ramionami. — Ja ułożyłem sobie wyjaśnienie tej sprawy. Wiecie, panowie, jak ja sobie tę rzecz przedstawiam? Myślę sobie, że kochanek pięknej Isotty wpakował do szafy zdechłe małpy, aby wyprowadzić w pole swego rywala. Veruccio. Zaś on sam z kochanką zmienił to więzienie na lepsze.

— Czy to możliwe? — zdumiał się Alfred Döring.

— Wiele rzeczy należy uważać za możliwe — westchnął Castellano. — Mnie się zdaje, że Vittorino Giusto był w tem szczęśliwym położeniu, że zmienił to więzienie na wolność. Ja sam z pewnością nie jestem w tem szczęśliwym położeniu...

— W jakim? — spytała obaj zwiedzający jednocześnie.

— By wam zmienić te 20 lirów, panowie. Natomiast wy, panowie — możecie wyjść na wolność przez te małe drzwiczki bezpieczeństwa.



Chińska idylla w pływającym domku.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok V.

Niedziela, dnia 25 listopada 1928 roku.

Nr 48

„Ksiądz Marek” na scenie Teatru Miejskiego.



Teatr Miejski w Łodzi wystawił na swej scenie w rocznicę 10-lecia niepodległości Polski „Księdza Marka” — poemat dramatyczny w 3-ich aktach Juliusza Słowackiego. Na zdjęciu widzimy fragment jednego z aktów z księdzem Markiem i Judytą. W roli ks. Marka — p. Karol Adwentowicz, p. Horecka, jako Judyta.